Janina Łagoda

Zarządzanie Rzeczpospolitą nigdy do łatwych nie należało, a i dzisiaj złożonością stoi. Rządzący w swoich kordialnych deklaracjach pragną, aby modelowana rzeczywistość była dla wszystkich przyjazna, a państwo rosło w siłę. Szlachetne intencje gubią się w natłoku dylematów codzienności. Są deklaracje, są czyny, ale też ogrom zdań odrębnych, dla których rządzący nie znajdują płaszczyzny zrozumienia. Górę biorą ambicje wspomagane zacietrzewieniem w obronie własnych racji. Piętą Achillesa pozostaje niechęć do kompromisu. Niezłomność jest szlachectwem, zwłaszcza w obliczu zewnętrzne agresji wroga, ale może też być utrudnieniem w procesie dialogu. Dlatego tak ważne jest społeczne zjednoczenie myśli i czynów w warunkach pokoju, aby wytrącać oręż innym o agresywnych zamiarach wobec nas. Chromy twór machający szabelką jest godny zaledwie politowania i, co smutne, łatwym łupem dla potencjalnego konkwistadora, zaś lamenty po klęsce, to nieskończone puste werbalne targi o przeróżne racje, które dzisiaj w uproszczeniu mieściłyby się w triadzie polityki, wirusa i chaosu. Z drugiej strony idealistyczna w codzienności jednoznaczność poglądów i czynów mogłaby sprowokować pozytywny szok, ale zapewne po chwili stałaby się znów zaczynem kontrowersyjnej odnowy, tj. powrotu na dawne sprawdzone szańce. Duch okopów nigdy nas nie odstąpił i nie jest to bynajmniej wirtualna fantazja.

Polityka

Polityczne układanki różnorodnością się mienią, co normalne, ale ich nadrzędnością winno być wzmacnianie aspiracji państwa. Istotne są praktyczne wymiary intencji. Ważną sprawą jest umiejętność rządzących do stymulowania energii społeczeństwa na rzecz wspólnego osiągania godnych celów, co w polityce szlachetnością się zwie i pozostaje w odporze do nieszczerych intencji tych, którzy zabiegają wyłącznie o własną popularność, majstrując przy mechanizmach państwa. A to już politykierstwo. Problem w tym, że ten eliksir interesów ogółu mącony wyrachowaniem jednostek dostatnio nasączył rodzimą codzienność i surrealizmem tchnie. Niepokoi parabola politykierów, która znalazła się na wznoszącej osi diagramu. Przykładów wiele, ale jeden z nich jest symptomatyczny, bo jak inaczej odnieść się do służbowego wyjazdu do Katowic (8 czerwca 2020 r.) dwóch wiceministrów sprawiedliwości, którzy zaprezentowali enigmatyczne formuły prawne mające stworzyć formalne podstawy do budowy tzw. naziemnego metra, tj. jednoszynowej kolei łączącej Katowice z Sosnowcem. Nie wiadomo czemu to miało służyć, a już na pewno tego projektu nie będzie realizował resort od sprawiedliwości. Tę propozycję dedykowaną mieszkańcom regionu śląskiego i to w momencie zamykania kopalń z powodu grasującego wirusa, można odczytywać jedynie w kategoriach ordynarnie uprawianego politykierstwa. Od kiedy to infrastrukturą komunikacyjną zajmuje się dział sprawiedliwości? Jeśli ten przypadek uzupełnić powierzeniem organizacji wyborów prezydenckich (10 maja 2020 r.) ministrowi od spółek skarbu państwa i Poczcie Polskiej z pominięciem Państwowej Komisji Wyborczej (PKW), co z góry było skazane na porażkę, to wydaje się, że gmatwanina zakresów odpowiedzialności za określone zadania przez rozmnożone resorty, osiągnęła rekordowy poziom chaosu. Smutna i niepokojąca to formuła administrowania państwem. Niestety kobierzec abnegacji rozkwita.
Pomiędzy polityką, której istotą jest trzeźwe rozważanie uwarunkowań i konsekwencji przed

wydaniem decyzji a politykierstwem, tj. demagogią kraszoną prywatą przepływają emocje o różnym ambicjonalnym stężeniu, zaprzątając w partykularnym stylu umysły wielu, którzy nie zawsze ogarniają ważkość społecznych problemów i swojego udziału w ich rozwiązywaniu. Politykierzy są przekonani, że tylko ich racje mogą uwznioślić państwo. Jest to prymitywne wyrachowanie bez interaktywnej refleksji, ale za to w stylu moja chata z kraja, a więc dialog mnie nie interesuje. Szczere prospołeczne zamysły są skutecznie trawione przez chciejstwo. Antidotum na ten zgubny stan chyba jest jeszcze dalekie od opuszczenia politologicznych laboratoriów, a rzeczywistość skwierczy. Pozostaje nadzieja, że rządzący, którzy są również obywatelami tego państwa, powstrzymają się od podejmowania czynów kolidujących z interesami Rzeczpospolitej. Oby nie była to ułuda. Warunkiem spełnienia tego jest wszechobecna konwersacja kończona kompromisem. Ta logiczna konstrukcja uwzględniająca polityczną atmosferę dnia dzisiejszego nie jest jednak atrakcyjnym modelem dla prawej i sprawiedliwej partii. Racja musi być po stronie Nowogrodzkiej.

Jedyny to kraj Unii Europejskiej, a i nieliczny w światowej retrospekcji, gdzie autentycznymi organami decyzyjnymi nie są: parlament, prezydent, rząd, ale prezes partii rządzącej. Instytucje państwa raptem gdzieś się zapodziały, a lider zwycięskiego ugrupowania usiłuje stać się ich właścicielem w bezprzetargowym apodyktycznym trybie, dysponując, formalnie rzecz ujmując, raptem pięciogłosową sejmową przewagą, co bliskie pokerowej rozgrywce. Na dobrą sprawę dla rodaków mało istotna jest parlamentarna rachunkowość dobrostanu stronnictw, ale ważkie są decyzje izby ich tyczące, a z tym są problemy. Przykładów więcej niż koralików w bogobojnym różańcu, który stał się ideowym kompasem sprawujących władzę. Trudno rozwiązywać problemy państwa w kruchcie lub w dzierżawionym przez partię budynku i trzymać na uwięzi skostniałe, ale zatłoczone partyjnymi nominatami rządowe gmachy. Przypomina to trochę latawiec płynący na nieboskłonie, usiłujący rozluźnić więzy ze sternikiem, ale ma z tym problemy, zresztą tak, jak i ten, który dzierży sterowniczy szpagat.

Dla przedwyborczych fantazji aplikowanych suwerenowi w parlamentarnych, prezydenckich, jak i samorządowych kampaniach, czas następny staje się niekończącym sprawdzianem realności wcześniej deklarowanych postulatów. Zwycięstwo i podjęcie się sprawowania rządów potęguje odpowiedzialność przed elektoratem. Tego zafrasowania zbrakło rządzącym funkcjonariuszom tzw. zjednoczonej prawicy. Euforia trwa, a z nią samouwielbienie, arogancja i inne formuły niegrzeczności wobec suwerena, które w łączniku z nieroztropnością mogą stać się przyczółkami smutnej sekwencji. I tak się już dzieje, bo rodaków, poza rachitycznymi historycznymi sporami, interesuje doczesność, tak w wymiarze wewnątrzkrajowym, jak i międzynarodowej pozycji państwa. Nic odkrywczego, ale przywoływanie na pamięć tych oczywistości nigdy za wiele.

Okazuje się, że pilnej renowacji wymaga dyplomatyczny surdut, który pod rządami Nowogrodzkiej uległ postrzępieniu. Bez subtelnej odnowy nie sposób marzyć o solidności kraju, która jest wypadkową wektorów jakości funkcjonowania wewnętrznych konstrukcji państwa oraz jego usytuowania w przestrzeni światowej. Z tym rządzący mają kłopot, sprawiając zawód suwerenowi, ale i samemu sobie, bo też stanowią część elektoratu, mimo że późniejsze powyborcze konfiguracje wyznaczyły im inne role, czasem bardzo osobliwe. Wielu nominatów zapewne nie zdaje sobie w pełni z tego sprawy, bo awans i profity wartko zniewoliły ich szare komórki, przyćmiewając przedwyborcze idealistyczne deklaracje. Zwyczajny to efekt sprzężenia zwrotnego, bliskiego marksowskiemu determinizmowi ekonomicznemu, że byt kształtuje świadomość. Ale zgłębienie tego prostego zjawiska sprawia trudności prawym i sprawiedliwym propagandystom, a to smutna rzecz.

Bez intelektualnej refleksji nie sposób efektywnie zarządzać państwem. Cynizm, arogancja, egoizm, zadufanie w swoją misją, obojętność wobec sugestii otoczenia etc. na pewno nie nobilitują tej ekipy. Tandetne objaśnianie przyczyn własnych niepowodzeń, gdzie w priorytecie usprawiedliwień dla błędów dominuje krytyka poprzedników i aktualnej opozycji, nie jest finezyjnym parowaniem zarzutów. Urąga to rzeczowo myślącym obywatelom, a smutkiem ogarniają próby interpretowania tych nieszczęść przez bojowników z Nowogrodzkiej, którym nie wolno wybiegać poza dyskursywną inwencję guru i trwać przy partyjnych gotowcach. Krążenie w obrębie brzegowych objaśnień stanowiących tzw. przekazy dnia, reglamentujące własne ego jest dla nich robotą Syzyfa, nie mającą nic wspólnego z budowaniem państwa przyjaznego dla wszystkich obywateli i szanowanego w świecie. Okazuje się, że dyplomacja, mająca nam gwarantować pozycję poza granicami, wymaga wysokiej klasy respiratorów i to autorskiego pomysłu bez szemranych handlowych pośredników, miksujących politykę z politykierstwem.

Wirus w koronie

Do niedawna rządząca partia zmagała się tylko z jednym zbiorowym przeciwnikiem, tj. opozycją parlamentarną i uzupełniającymi ją organizacjami pozarządowymi wraz z okazjonalnymi wielowymiarowymi obywatelskimi poruszeniami o racjonalnych przesłankach, ale co ważne, również z sądownictwem utrzymującym kurs broniący własnej niezależności i niezawisłości. Teraz do akcji wkroczył wirus o niewyobrażalnej sile sprawczej, który nie staje po żadnej ze stron. Równo obdziela swoją niegodziwością wszystkich, których napotka na drodze, a nadto skutecznie demoluje społeczne relacje, które w ojczyźnianej wersji od dawna próchniały.
W sytuacjach trudnych oczy narodu są kierowane ku władzy, co normalne, bo tylko ona dysponuje narzędziami mogącymi ograniczyć, w tym przypadku panoszenie się wirusa. Ogląd dotychczasowych poczynań rządzących powoduje, że społeczeństwo stopniowo zatraca nadzieję na skuteczność władców w radzeniu sobie z epidemią. Zawodzą zarządcze sposoby sterowania instytucjami państwa w zwalczaniu wirusa. Ich rodowód sięga czasów daleko sprzed epidemii. Dzisiaj dylematy się spotęgowały. Wirusa nie daje się ani wyprosić z kraju, ani odmówić mu wizy, ani przegłosować stosownej ustawy zabraniającej prawa pobytu nad Wisłą etc. Brzmi to naiwnie, ale chyba przystaje do bezradności rządzących zagubionych w osaczającej ich realności. W tym momencie sprawdzian użyteczności aktualnej władzy mieści się w dołujących notach. Duch apodyktyczności prawej i sprawiedliwej formacji nie może się pogodzić z koniecznością tolerowania obcej mocy na swoim podwórku. Tym bardziej, że to siła niewidzialna nawet okiem prezesa. Natomiast jej okrutna skuteczność musi budzić respekt, a to despekt wobec jego autorskiej koncepcji władania krajem.
Sanitarne środki obronne wytoczone przez rząd skrytemu agresorowi spudłowały. Dla organizacji pozarządowych był to sygnał, aby włączyć się w nurt wspomagania instytucji państwa w tym profilaktycznym teatrze, mimo że wiele z nich władza zaledwie toleruje i to z aplikacją ciemiężenia, bo ponoć stanowią dla niej polityczną konkurencję. Dziwni to panujący, jeśli nie korzystają z darmowych ofert mogących ich nobilitować. Dla Nowogrodzkiej słowo współpraca jest obłożone embargiem. Niedostatek zespalania różnorakich inicjatyw z własnymi, to słabość rządu. Niedoborem obrasta współdziałanie w imię jednoczenia wokół wspólnych celów. Miał być ciąg sukcesów, wedle zapowiedzi dobrej zmiany, a nastała wydajna produkcja konfliktów społecznych, potęgujących marazm i niewiarę w sukces Rzeczpospolitej. Po pięciu latach obowiązywania tego szkodliwego, ale realnością znaczonego abstraktu jego saldo w niedosyt popadło. Kolejne zwycięstwo rządzących zapewne niedobór pogłębi, a już dzisiaj

oznak tego mrowie. Pytanie o finał owego trendu jest uzasadnione. Odpowiedź może grozą trącić.

Strategiczne miejsce w walce z wirusem rządzącym zajęła żonglerka liczbami o zakażeniach, kwarantannach, zgonach i wyzdrowieniach, uzupełniana komentarzami o pozycji Polski w relacji do poziomu epidemii w innych państwach, kodując w nich nutę wyższości swoich decyzji nad ponoć nieporadnością tamtych państw. Ta narracja trwa nadal, a jej finezja z nieudolną sztampą się zbratała. Głównym aktorem stał się premier rządu wespół z szefem resortu od zdrowia. Początkowe publiczne ekspiacje tego ostatniego były ufne i wzruszająco strawne, ale im dalej w czas, ich prezentacja obrastała śliskimi komentarzami coraz bardziej przyćmiewającymi wiarogodność o stanie epidemicznego zagrożenia rodaków. Kwestionowały je też międzynarodowe instytucje, a ostatnie niechlubne doniesienia o mętnych prywatnych związkach ministra z zakupami sprzętu mającego nas chronić przed wirusem, na pewno doszczętnie osłabiły jego kwalifikacje jako kierownika resortu. Praca w wyuczonym zawodzie dla wielu jest jedynym spełnieniem, zaś szukanie satysfakcji w innych dziedzinach, ot tak, po amatorsku jest złowróżbne, bo tylko nieliczni są obdarzeni interdyscyplinarnymi talentami. W tej chwili mamy tego ilustrację. Efekt taki, że nasze urzędowe dane są weryfikowane przez zagranicę, która często brutalnie kontruje optymizm rodzimych władców i nadaje im merytoryczne formuły, np. o nieotwieraniu granic z Polską w obawie przed inwazją zakażeń z naszego kraju.

W opowieściach premiera rządu i ministra od zdrowia, którzy wkroczyli w kompetencje urzędu od statystyki, dominuje uspakajająco – gnuśna partytura. Proroctwa wirusowego ataku w resortowej edycji brzmią na podobieństwo meteorologicznych komunikatów, z pełnym szacunkiem dla prognostyków od pogody. Minister nie ukrywa, że objawiają się nowe ogniska epidemiczne, ale już co do ich genezy, sposobów rozprzestrzeniania się i walki z nimi, kluczy wokół teoretyczno-propagandowych frazesów. Stroni od rozmów tyczących powszechności testów. A wydaje się, że zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, to one kształtują wskaźnik opętania wirusem. Im mniej kontroli tym lepszy probierz zdrowotności społeczeństwa. I odwrotnie. Wyznanie tej prawdy mogłoby być niewygodne dla władzy. Odnosi się wrażenie jakoby minister w tej bezdusznej żonglerce niewolniczo wypełniał oczekiwania stratega z Nowogrodzkiej. Przypomina to funeralny taniec ze społeczeństwem. Minister raz wzmacnia profilaktyczne rygory, innym razem je rozluźnia, a po chwili sugeruje powrót do wcześniejszych obostrzeń, zaś krzywa inwazji była i jest niezmienna. Sumując, wirus w polskich pieleszach ma się dobrze. Taniec od ściany do ściany, to najlepsza inscenizacja poczynań urzędowo z nim walczących. Efekt taki, że ani rodacy, ani unijni partnerzy, nie potrafią zgłębić tych subtelności. Nie jest to rozsądny sposób na wzmacnianie wzajemnego zaufania, a przecież w codzienności to ważki komponent efektywnego współdziałania w obrębie nadrzędnych celów, tak w kraju, jak i poza nim.

Propagandowe zachowania władzy wobec dewastatorskiej mocy koronawirusa mają cechę nieuczciwości, także wedle je głoszących, bo władza to też część wspólnoty, której wizerunek jest kreślony decyzjami jednostek. Statystyka to szacowna nauka i nie walczy z wiatrakami, bo tak naiwnej mocy w sobie nie dostrzega, aby korygować niezmienne fakty. Co najwyżej może wtłoczyć przejawy inwazji wirusa w finezyjne tabelki, z których należy odpowiedzialnie, a nie sloganowo korzystać, jak to częstokroć czyni minister od zdrowia i inni intelektualiści z Nowogrodzkiej. Ważne są czyny. Sporo z nich zasługuje na aplauz, ale równolegle z nimi tłoczą się czarne chmury, a w nich m.in. migocąca pokusa spęczniania prywatnych portfeli osób odpowiedzialnych za walkę z tym właśnie bakcylem. To już inny, być może prokuratorski

kontekst wieńczący prawdę o zatroskaniu rządu zdrowotnością współplemieńców.
Wirus, nie pytając o zgodę pryncypała z Nowogrodzkiej, samolubnie rozgościł się w koronie. Ba, brutalnie wstrząsnął jego dobrym samopoczuciem, a to dla guru szokujące, zaś niedawne histeryczne zachowania tego świadectwem. Zaczęły się rwać polityczne zakusy na pełnię władzy. Pozostała więc intryga. Problem w tym czy wirus będzie reagował na takie zaklęcia, jako że swego pobytu u nas nie konsultował z żoliborskim dyspozytorem. To błąd bakcyla, a może wina hermetycznej kosztownej ochrony, która nie dopuściła intruza przed oblicze zawiadowcy państwa. Byłby to interesujący dialog w konwencji science fiction.

Epidemia chaosu

Zjednoczona prawica zgubiła klucz do społecznych aspiracji. Zasklepiła się w apodyktycznych decyzjach zwykłego posła, ignorując fakt, że państwo jest własnością obywateli, a nie partyjnym folwarkiem i to w orwellowskiej edycji. Buńczuczne zakusy sączone na kraj spod warszawskiego adresu są wyzbyte koncyliacji. Szczepionka przeciwko arogancji byłaby równie cenna, jak ta oczekiwana, mająca bronić przed atakującym koronawirusem.
Pięcioletnie rządy prawej i sprawiedliwej partii, jak i jej wcześniejszy współudział w sterowaniu państwem (2006-2007) rysują przygnębiający autoportret tej władzy. Perspektywa dla Polski pesymizmem tchnie, a jej siła pozostaje tylko tęsknym mirażem. Ratunkiem mogącym go urealnić staje się spolegliwy udział społeczeństwa w marzeniach o tolerancji bez egoistycznych wstępnych warunków. Problem w tym, że Nowogrodzka takiej opcji nie przewiduje, sądząc chociażby po ostatnich sejmowych okrzykach prezesa partii o chamskiej hołocie. Truizmem jest powtarzanie, że jedynym celem zawiadującego państwem jest władza dla władzy. Niebezpieczny to skrót w politycznych bojach. Nie ma tu ani idei, ani historycznej refleksji, ani zatroskania o perspektywę dla Polski. Przebija zaś niewiara, także coraz częściej u niektórych zwolenników tego prawego i sprawiedliwego obozu co do pogodnej przyszłości nas wszystkich. Niepokój budzą intencje Nowogrodzkiej, które pozostają w odległości od konsensusu, tak niezbędnego w procesie budowania solidnego państwa. A już na pewno tego nie da się zrealizować rozdzielczą ekwilibrystyką złotówkowych budżetowych danin, jako że to własność wszystkich nas. Dystrybuowanie nimi wedle partyjnych wskazań, a nie ekonomiczno – prawnych reguł bez konsultacji z ich właścicielami jest skandalem. Ostatnio w repertuarze Nowogrodzkiej, zamartwionej swoim politycznie drgającym statusem, takie gesty się nasilają. Partia i rząd nie mają tzw. swoich pieniędzy, co oczywiste, ale widocznie premier jest innego zdania. Warto, aby zgłębił choć w części myśli premier Wielkiej Brytanii, Margaret Thatcher (1925-2013), ekonomisty, która nie miała złudzeń co do uprawnień rządu w dysponowaniu publicznym groszem. Sukcesem byłoby gdyby niektóre frazy jej racjonalnych czynów przynajmniej na chwilę zagościły w umysłach rządzących. Na to się nie zanosi, bo władcy mają własne patenty na potęgę Polski. Mnogość pomysłów, to jedno, a wybranie tego najskuteczniejszego, to u nas Golgota. Jeśli nawet, zrządzeniem losu, zaistniałaby interpartyjna kooperacja dla dobra RP, to wdrożenie jej efektów będzie podlegało zawistnym recenzjom. Po ostatnich wichurach kłód mamy pod dostatkiem. Elektorat jest potrzebny wyłącznie w kampaniach wyborczych, jako że wszelka władza wychodzi z ludu i nigdy do niego nie wraca (Gabriel Laub, 1928-1998). Tej perfidii nie da się ukryć.
Zagrożeniem dla bytu rządzącej partii są krytyczne opinie objawiające się w jej obozie, zwłaszcza wśród tych, których omijają profity. Trudno bowiem im pojąć, że roczne zarobki wielu z nich są niższe od miesięcznych apanaży dawnych współtowarzyszy walki z komuną, którzy

dziś zasiadają z woli partii w spółkach skarbu państwa i na innych równie intratnych państwowych posadach. Pustej kieszeni nie napełni nawet najbardziej wyrafinowana propaganda w stylu agitatorskich, wyrachowanych argumentów o złotówkowych przedwyborczych datkach (500+, 300+, bon turystyczny, dodatkowe emerytury etc.), wymyślanymi na kolanie przez partyjnych animatorów zabiegających o wyborcze głosy. W takim trybie nie rozwiązuje się socjalnych problemów społeczeństwa, a co najwyżej można zdewastować obywatelskie nadzieje.

W ubogim kraju marsz ku socjalnym wyżynom nie zaczyna się od rozdawnictwa budżetowych zaskórniaków, jeśli takowe istnieją, bo u nas i nad tym zawisła enigmatyczność, lecz od systemowego rozwiązywania problemów wspólnych, jak przykładowo powszechność dostępu do opieki medycznej, żłobków, przedszkoli, oświaty, poprawy warunków bytowych dzieci w tzw. bidulach, wspólnego wypoczynku, tańszych mieszkań, przemyślanego emerytalno – rentowego systemu etc. Dopiero po załatwieniu tych spraw i po powszechnej debacie, a nie w amatorskich okrzykach partyjnego komitetu wyborczego, mogłyby nastąpić ewentualne systemowe bezpośrednie gotówkowe regulacje dla poszczególnych grup społecznych. Takiej opcji Nowogrodzka nie przewiduje, bo zagrażałaby jej jestestwu. Natomiast godzenie w społeczne relacje to modus vivendi tej formacji.

Nieskrywaną wadą politykierstwa uprawianego przez Nowogrodzką jest to, że praktykuje rozwiązywać problemy rodaków doraźnymi gestami oznajmianymi najczęściej na konferencjach prasowych i to, kiedy normatywne regulacje są zaledwie zapowiedzią. Przykładów wiele, a ostatni prezydencko – kampanijny wymysł o tzw. wypoczynkowym bonie tego wymownym dowodem. Zaślepienie prezydenta w zabieganiu o przedłużenie angażu coraz bardziej szokuje. Jego publiczne występy są wprawdzie różnie odbierane, ale coraz częściej znaczone znakiem ujemnym. Opowieści o wielkich inwestycjach, które już na wstępie noszą znamię utopijnych, jak i wybiórcze propozycje wspomagania grup społecznych budżetowymi środkami tłoczą spory, wzbogacając pakiet nieprzychylnych dla niego recenzji. Zakres obowiązków służbowych prezydenta został czytelnie określony w Konstytucji RP. Nie ma tam też zapisów o przejmowaniu uprawnień rządu. Jego udział we władaniu Rzeczpospolitą sprowadza się do ochrony zapisów Konstytucji i inspirowaniu godnych rozwiązań oraz negowania straceńczych zamysłów rządu. Wszystkie inne zachowania, to propagandowo – wyborczy niestrawny pokarm, który przez rozsądnych infamią musi być obłożony.

Rządzących prześladuje awersja do systemowych rozwiązań, które wymagają wiedzy i mozolnych prac legislacyjnych oraz wzajemnych ustępliwości w procesie dochodzenia do ostatecznego rozwiązania. Dialog jest odtrącany, a ważne dla społeczeństwa kwestie są rozwiązywane w sprinterskiej parlamentarnej galopadzie wieńczonej prezydenckim podpisem składanym w alarmowym trybie bez względu na porę doby. Takie są oczekiwania palatyna. W tym kontekście tandetą są wyświechtane zarzuty, że Senat RP opóźnia wchodzenie w życie ustawowych wymysłów rządzącej partii. Nic bardziej nie może kompromitować tych, którzy takie frazy wypowiadają. Ale cóż, taki partyjny nakaz. Wymiar propagandowy błyskawicznych procedur może i chwilowo bogaci ducha apologetów dobrej zmiany, ale i wśród nich dojrzewają rzeczowe refleksje. Wątpliwości są czymś naturalnym dla roztropnie myślących, także tych, którym materialny dostatek jeszcze w pełni nie przysłonił trzeźwego oglądu skwierczącego otoczenia. W tym kontekście prospołeczne gesty rządzącej kamaryli są bliskie próżniowych wartości.

Natenczas instytucje państwa stały się marginesem wobec wszechmocy politycznego biura z Nowogrodzkiej, a to nieudolny powrót w niedawną przeszłość. Wówczas prospołeczne decyzje

miały przynajmniej logiczne motywacje, ale Ich efektywność, to odrębna lektura. Dzisiaj socjalne zamiary rządu są bliskie kampanijnym okrzykom o złotówkowym ubogacaniu wybranych grup społecznych. Jedną z nich są też emeryci i renciści, którzy chyba już się pogubili się w obiecanych im rocznych mnożnikach dodatkowych miesięcznych powtórkach świadczeń. Dla większości to materialnie ważka sprawa, ale w ich trzeźwym osądzie jest odbierana jako zapomoga odległa od pożądanych systemowych regulacji świadczeń. Każdy grosz jest ważny, ale honor seniora kontrastuje z procederem instrumentalnego mamienia go kolejnymi łaskawymi datkami w formule 13-tej, 14-tej etc. emerytury, i to w kampanijnym czasie, które nie są równowartością emerytury, ale wydumaną przez nowogrodzkich myślicieli, taryfą równą dla wszystkich. Ot taka zapomoga. Realizm ustąpił propagandzie. Miast epatować elektorat królikiem z cylindra należałoby pochylić się nad systemowymi zmianami, a nie licytować się mnożnikiem dodatkowych rocznych wypłat. Władcy zapominają, że emeryci dysponują arsenałem doświadczeń i warto, aby rządzący z niego korzystali. Pora też, aby rząd odniósł się do emerytur i rent politycznie zmniejszonych w 2017 roku, bo ta decyzja żarzy niepewność innych co do swego emerytalno – rentowego eldorada, a są nimi m.in. potencjalni emeryci dzisiejszych służb mundurowych. One przecież od wieków są blisko rządzących. Historia nie zna państwa – łącznie z Watykanem – bez armii, policji, służb specjalnych etc. Kuriozalne jest to, że odpowiedzialnością za istnienie PRL-u obciążono nie Wielką Trójkę, lecz na wysublimowaną rodzimą grupę emerytów i rencistów. Po nich mogą popaść w niełaskę inne emeryckie grupy, np. ci, którzy w innej formule wspomagali powojenne państwo. Tak prostackiego rozwiązania nie dopuściła się nawet nieuczciwie napiętnowana owa PRL wobec funkcjonariuszy II RP, ale i przykładowo RFN wobec nazistów, a potem swoich rodaków z NRD. Odpowiedzialność zbiorowa jest zaprzeczeniem demokracji, ale już normalnością w autokratyzmie, totalitaryzmie etc.

Zdobycie władzy i jej sprawowanie, to biegunowo różne specjalizacje. Ta rozterka gnębi Rzeczpospolitą. Wyborcze zwycięstwo jest euforią, ale po niej nastaje codzienność, która uwielbia pragmatyzm, w tym spełnienia partyjnych obietnic. Ten prozaiczny fakt zwycięzcy albo przeoczyli, bądź zlekceważyli. Litania niespełnionych zapowiedzi prezydenta i rządu tego dowodem. O bezczelność się ociera epatowanie kolejnymi przedwyborczymi ekonomicznymi obietnicami z enigmatycznymi gwarancjami w tle, jak przykładowo spektakularne wiecowe obdarowywanie gmin czekami (czy z pokryciem?), zwanymi promesami o plastycznej tekturowej wymowie. Trzeba współczuć samorządowcom uczestniczącym w tych spektaklach. Oni przywykli do konkretów, a w tej chwili, to fikcja.

Nowogrodzki system zarządzania państwem wyróżnia się tym, że obdarował nieskończoną bliżej liczbę partyjnych żołnierzy o niezidentyfikowanych kompetencjach, państwowymi zarządczymi stanowiskami. Podstawowym atutem awansu była ich publiczna gadatliwość na wszelakie tematy pozostające w zgodzie z oczekiwaniami guru. Tę powinność wypełniają znakomicie, ale co smutne, kosztem własnego honoru. Żal Rzeczpospolitej. Intelektualne kontuzje się zdarzają, ale systemowa galopada ku przepaści, to już ewenement.

Kuriozalnie wysublimowana obsada gabinetu stanowi obrachunkową partyjną gratyfikację postponującą merytorykę o dalekosiężnych negatywnych skutkach. Niekiedy niedoszli samobójcy rezygnują z desperacji, ale czy w tym przypadku potrafią oderwać się od partyjnych decyzji? Rokowania żałosne. I tak już chyba pozostanie aż do czasu racjonalnej refleksji elektoratu, który kiedyś, być może, porzuci krainę romantyzmu i wstąpi na niwę pozytywizmu. Tego chyba nie wie nawet Nowogrodzka, która, jak się wydaje, uwielbia wsteczne biegi.

* * *

Bicie rekordów w stylu władza dla władzy, to polityczny hazard z pulą demokratycznego państwa na krupierskim stole. Tak Rzeczpospolitej traktować nie wolno. A jednak to nam się przydarzyło. Zdobycie władzy i skuteczność w jej sprawowaniu, to dwie różne specjalizacje. Nie zawsze zwycięzca potrafi być sprawnym zarządcą zdobytego gumna, tak, aby społeczeństwo nie musiało dopominać się o swoje prawa, a władca nie drżał w posadach. Dzisiaj wstąpiliśmy w niekończące się pasmo kontrowersji dotyczących przede wszystkim solidnego wypełniania przez instytucje państwa powinności wobec obywateli w ich prawno-bytowych nadaniach. Coraz trudniej znaleźć zadowoloną z rządów grupę społeczną, a wśród nich, także co niektórych zwolenników prawej i sprawiedliwej formacji. Ale lojalność wielu studzi ich radykalne formy oburzenia. Euforia władzy niekiedy cierpkimi owocami smakuje, bo nie sposób skrępować aspiracje ludu.
Walka rządu z koronawirusem wstąpiła na wyżyny politykierstwa, ale i w osobliwych przypadkach nie ominęła naruszeń prawa oraz dobrych obyczajów. Ponadto brak szacunku dla opozycji, za którą stoi wielomilionowy elektorat oraz różnych blasków wolontariat także wspierający rząd w sytuacjach trudnych, to chyba coś więcej niźli arogancja. Wydaje się, że wirus uszkodził zdrowy rozsądek wielu z kręgów władzy, a to niebezpieczne także dla niej samej. Godzi też w szanse na ponowienie prezydenckiej kadencji partyjnego nominata. Oby jasnogórskie modły prezesa nie okazały się tak skuteczne, jak oracja wicepremier od rozwoju wygłoszona z ambony w Maryjnej Kaplicy.
Aspiracje rządzących bycia ważnym podmiotem, również w międzynarodowym obiegu są chwalebne, ale muszą być kompatybilne z czynami na rzecz wewnętrznej demokracji. Z tym jest problem, który zakleszczył się w dwóch zaimkach: my i oni. Natomiast listem gończym poszukiwane jest słowo razem. Warto dożyć czasów, kiedy polityczna gramatyka zaowocuje spójnością.

Janina Łagoda